

Tańczymy taniec wielkiego samowara

Jędrzej Piaskowski przygotował w lubelskim Teatrze Osterwy spektakl wagi ciężkiej.

Jego „Trzy siostry” to przedstawienie o przemocy upychania dzisiejszego życia w anachroniczne formy.

WITOLD MROZEK

- Witamy w prawdziwym teatrze na prawdziwej sztuce, czyli oczywiście na Czechowie. Lubelskie „Trzy siostry” Jędrzeja Piaskowskiego - zaczyna dydaktycznym wstępem aktorka Jolanta Rychłowska. Jest dopisana Czechowowi narratorką, trochę w typie telewizyjnej prezenterki z początku lat 80. albo nauczycielki, kosmaru dzieciństwa.

Ciężka kurtyna idzie w górę i wszystko jest klasycznie, jak trzeba. Są więc w małym rosyjskim mieście tytułowe trzy siostry, osierocone córki ważnego carskiego oficera. Prowincjonalna, umęczona nauczycielka Olga, Masza i najmłodsza, śniąca o porzuceniu próżniaczego życia Irina. Daleko jest wymarzona przez nie Moskwa, coraz bardziej nierealna i mityczna, na miejscu - marazm i półinteligentne rozmówki

JAKUB ORZECZOWSKI / AGENCJA GAZETA



W tych „Trzech siostrach” przerysowane jest wszystko: scenografia, kostiumy i gra aktorów

o niczym, niespełnione romanse i tęsknota za zmianą.

W ciuchach ze szmateksu, w strojach z epoki

Stop, jeszcze nie ziewajcie. U Piaskowskiego (i dramaturga Huberta Sulimy) zamiast kojarzonego z Czechowem psychologicznego realizmu znajdziemy brawurowo przeskalowane klisze. Będzie taniec wielkiego samowara, będzie Irina maszerująca mechanicznie z monologiem o nowym kulcie pracy - pod hymn ZSRR.

Będzie celebrowanie każdej czynności pod majestatyczną melodię „Boże, chroń cara”.

Groteskowy sztafaż podkreślają nie tylko beczelnie proste skojarzenia muzyczne, ale i kostiumy Hanka Podraży - z pogranicza szmateksu i epoki - czy scenografia Aleksandra Prowalińskiego. No i ostentacyjnie zdjęta ze ściany czechowowska strzelba, która rytualnie puknie we właściwym akcie.

Śmiech (niesłusznie czasem tłumiony przez widownię, bo „ma być

poważnie” - zdarzyło mi się być ucieszonym) to jednak tutaj nie wszystko. „Trzy siostry” są przedstawieniem o przemocy upychania dzisiejszego życia w anachroniczne formy. Karzące, nauczycielskie spojrzenie i kateryczny ton Rychłowskiej-narratorki (później - Nataszy z dramatu, rzeczniczki rodzinnego ładu) albo upchnię aktorów w konwencji, albo wytłumaczy ich brewerie, podsuwając jedynie słuszną interpretację.

Jednocześnie mimo tej ramy lubelscy aktorzy grają drapieżnie - na pierwszy plan wysuwają się uwodziecielski, cudownie przegięty Wierszynin Macieja Grubicha i zręcznie balansująca na pograniczu realizmu i przerysowanej komedii Irina Lidii Olszak.

W poprzednich, warszawskich spektaklach - „Puppenhaus” w Rozmaitościach i „Wierze Gran” w Żydowskim - Piaskowski pokazał, że umie ślizgać się na pograniczu żenady, jednocześnie nie popadając w zupełne błazeństwo; jego ironia ma cel poza samą sobą. Widać, że trzydziestoletni reżyser umie przekonać aktorów do wejścia na tę cienką granicę między kompromitacją a udaną szarżą. To w tym fachu ważna sztuka. Po prostu dobrze się to ogląda, spektakl trzyma rytm - choć może w pomysłach na czwarty akt zabrakło nieco skrótów.

Gdzie jest Polska

Czechow znów wraca do centrum polskiego teatru? Niedawno w głównym przedstawieniu w Teatrze Polskim w Warszawie (z Andrzejem Sewerynem i Maciejem Stuhrem) Iwan Wyrypajew reżyserską ironię zawarł w lekkim przerysowaniu formy, w groteskowej nadwyżce dodanej do realizmu, ale i w publicystycznych interpretacjach, które „same” dziś się nasuwają.

Rosyjski klasyk wraca bowiem nie tylko jako specjalista od gry ze sztywną konwencją, lecz także przedstawiciel określonej społecznej refleksji, uznawanej często za przebrzmiałą. Tymczasem nowe amerykańskie serie i młodzi polscy muzycy czy artyści internetowi eksplorują (Czechowowskie przecież) tematy porażki, niemocy i przygnębienia, rewers kapitalistycznego kultu sukcesu, spełnienia i osobistego rozwoju.

Zmieniają się też nadwiślańskie wyobrażenia o naszym położeniu. Z jednej strony ponownie uświadamiamy sobie peryferyjność Polski - parafiańskiego powiatu kontynentu, z drugiej - jakoś znów jesteśmy bardziej Europą Wschodnią niż Środkową, a o marszu na Zachód, na Zachód, na Zachód... wszyscy już chyba zapomnieli. A Moskwa? Jakby coraz bliżej. Tylko coś innego znaczy niż dla Olgi, Maszy i Iriny. ●